

Niemka wzruszając ramionami. — Pan rozumie, że kiedy się śpi...

— Powiedz najlepiej odrazu, że nie wiesz — przerwał jej mąż z rozdrażnieniem.

— Nic z nich nie wyciągnę — pomyślał Staub. — A jednak automobil! Tobie wiele rzeczy wyjaśniło. Odezwał się głośno:

— Może pani sobie przypomni... To jest bardzo ważne. Jeżeli rzeczywiście ubiegłej nocy automobil zatrzymywał się przed domem państwa, to może bardzo dopomóc do śledztwa... Z drugiej strony można przypuścić, że przez sen mogli państwo nie słyszeć kroków w ogrodzie. Zwłaszcza, że ci ludzie musieli iść bardzo ostrożnie. Co pan o tem sądzi?

— Jestem pańskiego zdania — odparł Niemiec, zamieniając z żoną szybkie spojrzenie.

— Proszę uważać teraz! — rzekł Staub, zauważywszy to spojrzenie. — Proszę uważać. Jeżeli przypuszczenie o automobilu nie sprawdzi się, musimy powrócić znowu do śladów. Otóż ślady te kończą się przed drzwiami domu państwa, w takim razie można powiedzieć, że morderca wszedł do państwa wraz z współniczką i ciałem ofiary. W jaki sposób przekonacie mnie państwo, że nie jesteście współnikami?

— Wspólnikami!... my!... współnikami zbrodni!... — krzyknęły jednocześnie państwo Leymann, błędnie śmiertelnie, ale nie tracąc głowy pod strasznym zarzutem.

Leymann uspokoił się natychmiast i podczas, gdy jego żona całowała wystraszone tą sceną córeczki, i zaczerwieniony z oburzenia, powiedział:

— Niech pan zrewiduje dom!...

Staub poczuł, że zaszedł za daleko.

— Zrobimy lepiej — odparł — jeżeli zbadamy dokładnie, gdzie kończą się ślady, które zdają się urywać koło drzwi domu.

— Bandyci! — krzyknął Leymann nieznanym mordercom.

Ale Staub nie słuchając go, wszedł już w pokryte daszkiem wąskie przejście między domem i murem. Przejście to łączyło frontowy ogródek z innym, znajdującym się za pawilonem.

Zrobiwszy kilka kroków, Staub wydał lekki okrzyk i szybko schylił się.

— Byłem tego pewny — rzekł, zwracając się do Leymannów, którzy szli za nim. — To był fałszywy ślad. Mordercy okrążyli dom, stąpając po kamiennych płytach, przez co straciłmy ślad i przeszli tędy. Teraz dziecko odgadnie resztę.

Mówiąc to, agent szedł za śladami, które prowadziły wprost do furtki. Tu zatrzymał się i zapytał:

— Czy ta furtka zamyka się na noc?

— Tylko na klamkę.

— Doskonale.

Jednocześnie począł poruszać furtkę z początku powoli, później prędzej.

Furtka obracała się na zawiasach bez szelestu. Staub zdawał się być mocno zadowolony. Wyszedł na ulicę i przyjrzał się uważnie brukowi. Natychmiast dostrzegł dwie czarne, tłuste plamy o parę kroków od furtki.

— Nie śniło się pani — zwrócił się do Niemki — rzeczywiście był tu w nocy automobil.

— A widzisz! mówiłam! — odparła pani Leymann, patrząc na męża. Ale ty mi nigdy nie chcesz wierzyć.

Niemiec wzruszył lekko ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Czyż można wierzyć wszystkiemu, co mówią kobiety!”

— Teraz — odezwał się Staub — wiem już wszystko. Pozostaje mi więc tylko podziękować państwu i przeprosić za kłopot.

Chciał już odejść, gdy nagle zatrzymał się.

— Przepraszam, chcę zadać państwu jeszcze jedno pytanie, mające dla mnie pewne znaczenie

— Niech pan pyta — rzekli państwo Leymann, którzy poczęli już swobodnie oddychać widząc, że straszny gość odchodzi.

— A więc, czy państwo znają mieszkańców tego domu za murem?

— Nie mogę powiedzieć, że ich znam — odparł Niemiec — bo nigdy z nimi nie rozmawiałem. Ale znam ich z widzenia...

— Więc jest ich tam kilku?

— Naturalnie.

— Przypuszczałem, że mieszka tam tylko jedna kobieta.

— Zwykle, tak. Ale od czasu do czasu przychodzą tam inni, którzy, zdaje się, mają w tym domu swoje *pied-à terre*.

— Jak wyglądają ci inni.

— Mężczyzna z rudymi włosami i brodą, bardzo wysokiego wzrostu, o ile mogłem zauważyć z daleka.

— Hm... hm... — mruknął agent.

— I kobieta, młoda dama, brunetka... smukła.

— Z wielkimi niebieskimi oczami?...

— Nie... raczej zielonemi... Mówi po niemiecku...

— Mówi po niemiecku? — krzyknął Staub. —

Czy jest pan tego pewny?

— Czy jestem pewny? Do kroćset, ten szczegół właśnie zwrócił moją uwagę. Przytem, moja żona słyszała również...

— To ona, bezwątpienia! — rzekł agent uszczęśliwiony z takiego wyniku swych badań. — A czy



— Niech mnie dyabli porwą jeżeli rozumiem cokolwiek.

nie mogliby mi państwo powiedzieć, czy ta młoda dama była tam wczoraj?

— I owszem, była razem z rudym mężczyzną. Widziałem ich w jednym z pokojów już popołudniu. Okno było otwarte i zauważyłem, że rozmawiali z ożywieniem. W pewnej chwili mężczyzna wykonał ruch, jak gdyby coś ścisnął w palcach, lub koś goś dusił. W tej chwili kobieta zobaczyła mnie i zamknęła okno... Później już ich nie widziałem.

— Musieli tam być na obiedzie — dodała pani Leymann — gdyż, robiąc sprawunki spotkałam w sklepie kolonialnym na placu Denfert Rochereau ich gospodynię, robiącą duże zakupy...

— Ich gospodynię?... — przerwał żywo Staub.

— Tak, ich klucznicę, jeżeli pan woli, ona załatwia wszystkie sprawunki i prowadzi całe gospodarstwo, oni tam zręszta bywają dosyć rzadko.

Ponieważ agent zdawał się być bardzo zdziwionym, Niemka dodała:

— O! znam ją doskonale. Nazywa się pani Jude, bardzo łatwo ją poznać po dużym pasmie siwych włosów pośrodku głowy.

— Dziękuję pani bardzo — przerwał Staub potok wymowy pani Leymann. — Czy państwo gotowi są powtórzyć to wszystko sędziemu śledczemu?

Mąż i żona spojrzeli na siebie niespokojnie, okazując wyraźną niechęć do wchodzenia w stosunki z policją i sądem.

— Niech się państwo niczego nie obawiają — dodał pośpiesznie agent. — Nie narazi to was na żadne przykrości. Przyznaję, że wchodząc tu, miałem bardzo silne podejrzenia, teraz jednak znikły one zupełnie. Więc zgoda, nieprawdaż? Wezwą państwa jako świadków, i państwo powtórzą co do słowa to wszystko, co mnie teraz powiedzieliście! Uścisknąwszy małżeństwu dłonie, Staub pośpiesznie wyszedł.

W pięć minut później, połączwszy się ze swym towarzyszem i Stefanem wsadził przemocą do automobilu panią Jude, nie zważając na jej zaprzeczenia i rozpacz. Jadąc szybko do dyrekcji policji Staub winał sobie dobrego wachu, z jakim poprowadził badania. Wypadało z tego, że, przede wszystkim pani Jude kłamała z niesłychaną bezczelnością, i następnie nie ulegało już wątpliwości, że zniknięcie barona du Collet, było nową zbrodnią Fabrykanta mumii.

Z opisu, jaki dali Niemcy, Staub poznał odrazu rudego olbrzyma i młodą brunetkę o zielonych oczach. O tej parze słyszało się zawsze po każdej zbrodni, dokonanej przez nie dającego się schwytać opryszka.

ROZDZIAŁ VI.

Młody lekarz.

Od rana Barsac, sławny reporter, którego znał cały Paryż, żdzierał buty, pragnąc zebrać materiał do artykułu o tajemniczym zniknięciu, które zajmowało wszystkie umysły. Ale nie miał szczęścia. W dyrekcji policji odmówiono mu stanowczo wszelkich wyjaśnień. Udał się na ulicę świętego Jakóba, pragnąc opisać przynajmniej wnętrze tajemniczego domu, ale policja nie wpuściła go. W pałacu barona na Polach Elizejskich odzwiertny oznajmił mu, że baronowa odbywa naradę i nie chce się z nikim widzieć. W końcu udał się na plac Vendôme do banku, założonego przez ojca barona. Znał dyrektora banku, pana Larcquebron, spodziewał się więc zasięgnąć u niego informacji. Ale pomimo wczesnej godziny w obszernej poczekalni dyrekcji było mnóstwo ludzi, oczekujących na przyjęcie, podnieconych, rozprawiających z ożywieniem o wypadku. Barsac zrozumiał odrazu, że nie doczeka się swej kolei. Zrozpaczony tem uporczywem niepowodzeniem, nieszczęsnym reporter wyszedł z poczekalni. Na schodach, idąc ze spuszczoną głową, potracił jakiegoś jegomościa, który poznawszy go, krzyknął z radością.

— A! Barsac! Jak się pan mie-

wa?

— Złe, doktorze, bardzo złe — odparł reporter z miną na wpół komiczną na wpół rozpaczliwą.

Doktor Aleksander Vanesco, Rumun z pochodzenia, jeden z najmłodszych lekarzy wyższego paryskiego świata, który obchodził się z nim jak z rozpieszczonym dzieckiem, był mężczyzną trzydziestoletnim, wysokiego wzrostu, smukłym i zgrabnym, ubranym z wytworną elegancją. Przy powierzchowności salonowca posiadał on ciało o stalowych mięśniach, wygimnastykowane, sprężyste, zahartowane w sportach wszelkiego rodzaju. Wszystko dyszało w nim siłą, energią, postanowieniem. Wzrok, którego dziwny blask trudno było znieść, wyrażał zuchwałą odwagę. Twarde jego rysy twarzy zmiękczał czarujący uśmiech, pełen nieskończonej słodyczy. Dzięki temu sprawiał wrażenie bardzo sympatyczne.

— Zdaje mi się — rzekł doktor Vanesco, patrząc z uśmiechem na Barsaca — że panu się dziś nie powiodło. Widać to z pańskiej twarzy, mój drogi reporterze! Niech się pan przyzna!

— Ba! mówiąc poprostu straciłem cały ranek — odparł Barsac z przygnębieniem. — Niech pan sobie wyobrazi... I opowiedział doktorowi o całym szeregu swych niepowodzeń. Nie zdobył materiału na trzy wiersze.

(Ciąg dalszy nastąpi).